



WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI



Pożegnanie lata.

(Piosnka na nutę krakowiaka).

Chodziłam po łąkach i polach i borach,
Nazbierałam kwiatków w precudnych kolorach,
Nazbierałam kwiatków, bo ostatnie przecie,
Bo niedługo będzie u nas już po lecie!

Nadejdzie wnet jesień, a z nią brzydkie słoty
I zamiast zabawy przorożne kłopoty;
Więc się cieszymy jeszcze jasnym blaskiem słońca.
Zanim miłe lato dobiegnie do końca.

Oj było bo było dotąd nam łaskawe,
Bogate w pszeniczkę i żytko i trawę;
Owoców też w sadach mieliśmy dostatki...
I któżby naliczył jego hojne datki!

Więc jak nie dziękować za radości tyle,
Za ciepłego lata nam najmiłsze chwile;
Jakże go nie żegnać piosenką i kwiaty,
Gdy przez niego przecie nasz kraj jest bogaty.

M. D.

WYSTAWA OGRODNICZA.

Przed jedenastu laty grono ludzi dobrej woli, ludzi poważnych, założyło w Warszawie Towarzystwo Ogrodnicze, w tym celu, aby rozbudzić w nas zamiłowanie w ogrodnictwie i wykazać, że ta nauka może nam dać wiele korzyści i przyjemności.

Korzyść wypływa z uprawy warzyw i drzew owocowych, przyjemność zaś głównie z uprawy roślin ozdobnych, z pięknym kwiatem lub też pięknymi liśćmi.

Dla zachęty też i dla pokazania ogółowi jakie to ogrodowe rośliny hodowane u nas być mogą, Towarzystwo Ogrodnicze urządza od czasu do czasu Wystawy. Ostatnią z nich właśnie, otwarto dnia piątego września r. b. w Bagateli, posiadłości Towarzystwa, położonej niedaleko od rogatki Motkowskich.

W ogrodzie, który otacza pałacyk Bagateli, widzimy piękne zbiory roślin, pełnych, różnego koloru lewkonii, rzędy kamelii, dalej pyszne pacioreczniki czyli *Canny* ponsowe, żółte, ceglaste, kremowe. W dużych wazonach stoją też tutaj Arakuarye, drzewa iglaste pochodzące z Ameryki, o których nazwę sprzeczali się dość długo Amerykanie z Anglikami. Pierwsi pięknemu drzewu chcieli nadać nazwę Wellingtonii, na cześć swego generała Wellingtona, drudzy zaś uwarucie nazywali ją Waszyngtonią, na cześć wyswobodziciela Stanów Zjednoczonych Ameryki, Washingtona. Pogodzili ich botanicy, którzy w swych dziełach zachowali drzewu dawną jego nazwę Araukaryi; u nas ta roślina żyje tylko w cieplarniach i dosięga wysokości sporego krzewu.

Dalej stoi pawilon Ogrodnika Polskiego. Na pierwszy rzut oka, niby nic tu niema ciekawego. Lecz każdy ogrodnik zatrzyma się tam dłużej przy tych wszystkich narzędziach ogrodniczych, nożach, nożycach, sekatorach, grabiach, spadlach, i t. p. narzędziach, które są przy jego pracy niezbędne.

Wychodząc z pawilonu widzimy wystawę owoców; jabłka, gruszki przeważają tutaj, wszystkie piękne a niektóre tak olbrzymie, że zaledwie ręką objąć je można. Są tu także śliwki i winogrona, czarne i białe a tak świeże, jak gdyby nie z Kieleckiego pochodziły lecz rosły w samej Bagateli.

Wielka susza, która panowała w tym roku, nie pozwoliła warzywom rozrość się tak jak lat poprzednich; bardzo też niewiele widzimy jarzyn, kartofli na Wystawie.

Wejźmy teraz do wielkiej hali czyli sali kwiatowej. Jeszcze przed wejściem ogarnia nas zmieszany zapach kwiatów; róże, heliotropy, lewkonie, tuberozy, lilie, nawet hyacenty składają nam to wonne powitanie. Widzimy tu przepyszne olbrzymie paprocie, palmy, feniksy, cykasy i inne; ustawione w klombach, zajmują cały środek sali, objęte wieńcami paprotek, cyklamenów czyli fiołków alpejskich, tu i owdzie widnieją różnokolorowe liście koleusów i większych o wiele kaladium, które barwą metaliczną, purpurową przypominają begonie wielkolistne. Tu znowu widzimy kanny, mieczyki (gladiolusy), filodendrony, fikusy, w ten sposób prowadzone, że tworzą krzak gestolistny. Jeden kąt zajęły cięte róże, hortensje, a wśród nich klon z białymi liśćmi. Obok na ścianie wiszą prześliczne bukiety z suchych traw i liści ułożone, są to bukiety Makarta; nie wszystkim roślinom zachowano tutaj ich naturalną barwę, widzimy np. liście dębu lekko złocone po zasuszeniu, ciemno-szkarłatne trawy, posrebrzone liście palm, a gustowne ich ułożenie daje całość od której oczu oderwać trudno. Bez pomocy sztuki malarskiej, można przecież układać bardzo piękne bukiety z suchych traw i zboża, z dodatkiem brunatnych liści sitowia, prawie czarnych kępek szczawiu, a gdy jeszcze zwiążemy taki bukiet żółtymi liśćmi końskiego zębu, niby kokardą z atlasowej wstążki, przystroimy pokój kosztem tylko przyjemnej pracy.

Poniżej makartowskich bukietów widzimy bukiety, po-

duszki, ba! nawet całe wazony z żywych, ciętych kwiatów. Złoty kołowrotek różami i wstęgami obrzucony, róg obfitości z róż, lustro z wonną różaną ramą. Czego tam nie ma? Jest nawet zastawa stołowa kwiatami przybrana, obok poduszka z białych lewkonii, a na niej z lila i żółtych lewkonii ułożone symbole wiary, nadziei i miłości, krzyż, serce i kotwica.

Piękne kwiaty tu podziwiamy, lecz jeszcze więcej podziwiać musimy gust osób, które je układały. Gdybyśmy wzięli najradsze kwiaty i ułożyli je nie dbając ani o dobór kolorów, ani też o kształt ogólny, nie stworzylibyśmy wcale rzeczy pięknej. Trzeba tu poczucia estetycznego, które niestety! nie wszyscy posiadamy.

Między bukietami usadowiły się w rogu storczyki, najkapryśniejsze z kształtu kwiaty. Niby to one wszystkie mają po trzy płatki nierówne, ale właściwie ta nierówność sprawia, że różnią się bardzo między sobą; wielkie, małe, ponsowe, białe, brązowe, pstre, każdy ma swój odrębny wygląd.

Odurzeni trochę zapachem i barwami kwiatów, których tu wszystkich wyliczyć nie mogliśmy, wychodzimy z hali aby obejrzyć szkółki drzew owocowych, ogrodowych ozdobnych i leśnych.

Dużo jest tutaj tej młodzieży roślinnej, która w przyszłości dawać nam będzie cień i owoce.

Opuszczamy już wystawę a na zakończenie składamy czytelnikom i czytelniczkom naszym życzenie; aby każdy i każda z nich według możliwości postarała się o swój, choćby małeńki ogródek, w którym mogłaby częstą tych pięknych roślin hodować.

A. M.

W pustyniach Australii.

PRZEZ

Władysława Umińskiego.

(Dalszy ciąg).

XV.

NOWE NIESPODZIANKI.

Kraina cudów przyrody obfitowała w niespodzianki: filary piaskowe, grotty podziemne, podobne do labiryntów — pustynia, pokryta solą... Nie na tem się jednak skończyło...

Wyprawa, dążąc naprzód, spostrzegła z podziwieniem, iż rzeka płynąca solną równiną, którą zdaleka wzięto za jezioro, stawała się coraz płytszą i węższą, aż wreszcie, o kilkanaście kilometrów dalej, nagle zniknęła z powierzchni ziemi. Podróżnicy, zbadawszy przyczynę tego niepospolitego zjawiska, doszli do wniosku, iż rzeka, licząca sto metrów szerokości, została pochłonięta przez grubą warstwę piasku, i prawdopodobnie płynęła w dalszym ciągu pod ziemią, po nieprzenikalnej warstwie, leżącej poniżej.

Dugan przedsięwziął wiercenie, lecz długość narzędzia okazała się niewystarczającą; dowodziło to, iż pokłady piasku były w tych okolicach grubsze, aniżeli na 15 stóp.

— Przyroda zażartowała sobie z nas, — rzekł Abel, kiedy skończono badania; — spodziewaliśmy się osiągnąć centralnego zbiornika wód, a tymczasem znajdujemy solną pustynię; rzeka, szeroka i wspaniała, która według naszych przypuszczeń miała wpadać do wielkiego jeziora, wsiąka sobie najspokojniej w piaski, nie troszcząc się o to, że nam może być potrzebną.

— Tak, to oburzające! — bąknął machinalnie doktor,

przeglądający jakieś przyrodnicze dzieło w cieniu swego wielbłąda.

— Wuju, wuju! — odezwał się Jerzy, który podczas tego przechadzał się wraz z Hopem dokoła miejsca, gdzie niknęła pod ziemią rzeka; tutaj, na piasku ktoś przechodził niedawno w kierunku zachodnim.

Te słowa młodego Hundletona zelektryzowały Dugana.

— Gdzie, gdzie?!

— Tutaj na samym brzegu; jakiś człowiek najwyraźniej wszedł do rzeki, aby, prawdopodobnie, przedostać się na drugą jej stronę.

— Dziki czy Europejczyk?

— Europejczyk, bo oto widać obcas, odcisnięty na mokrym piasku.

— Prawda, najzupełniejsza prawda, — powtarzał Dugan zaczerwieniony ze wzruszenia.

— A więc nie jesteśmy sami jedni w tych pustkowiach! To bardzo brzydka historia, wyprzedzono nas! — rzekł Abel.

— Kto to może być?

— Trzeba iść za śladem! — zawołał Dugan; — ty doktorze, racz pozostać tutaj, my zaś udamy się na odszukanie nieznanego, obecność którego niesłychanie mnie intryguje. Hm, takiego spotkania nigdy bym się nie spodziewał.

— Opatrzmy broń, — rzekł Abel; — w pustyniach włóczęją się rozmaici awanturnicy, spotkanie z którym, i niezawsze jest bezpieczne.

— Masz słuszność, — odparł podróżnik, zmieniając naboje w lufach dubeltówki, — trzeba zachować ostrożność.

— Pójdziemy pieszo, nieprawdaż? — zagadnął Jerzy.

— Tak, wielbłądy mogłyby zdradzić naszą obecność, — odparł Dugan.

— Pozwól więc, wuju, że ja z Hopem będziemy stanowili straż przednią.

— Dobrze, ale nie oddalajcie się zabardzo od nas.

Chłopiec usmiechnął się z pewnością siebie i, gwizdnąwszy na psa, wszedł z nim razem w wodę.

Rzeka w tem miejscu była tak płytka, iż podróżni z największą łatwością przebyli ją w bród. Na brzegu przeciwnym, cokolwiek niżej, ślady ukazały się znowu. Nieznajomy, opuściwszy koryto rzeki, skierował się ku skałom, rozrzuconym w półkole, o kilkaset metrów opodal.

Dugan i jego towarzysze daremnie łamali sobie głowę, chcąc odgadnąć, kto to może się błąkać sam jeden w sercu Australii, wpośród nieprzebranych pustyni. Jerzy, jak zawsze, robił najdziwniejsze przypuszczenia.

— Kto wie, czy to nie jeden z członków zaginionej polskiej wyprawy, — rzekł.

— Dzieciak z ciebie; przecież Wilski wyraźnie powiada, że wszyscy jego towarzysze zginęli.

— Wszyscy? Przepraszam bardzo, przecież w dokumencie znalezionym niedawno przez Boba, czytaliśmy, że wyprawa składała się z sześciu ludzi.

— No tak. Wilskiego, Ziemeckiego, Liwskiego, Kalskiego...

— I tego, co umarł z pragnienia zaraz w początkach podróży, — dodał Abel.

— A więc brakuje jeszcze jednego! — zawołał tryumfalnie Jerzy.

— Przepraszam cię, mylisz się; z pragnienia umarło dwóch podróżników, — przerwał Dugan. — Zresztą, gdybyśmy nawet nie mogli doliczyć się, ilu członków wyprawy pozostało po przejściu łańcucha górskiego, to i cóż? Przecież nie będziesz utrzymywał, że jeden z nich dotychczas żyje w pustyni. To niepodobieństwo.

Rozmowę tę przerwało głośne szczekanie Hopa, który właśnie zniknął pomiędzy skałami.

— Baczność! — zawołał Abel.

Zaledwie wymówił to, gdy z poza najbliższego złomu wyjrzał jakiś człowiek, a ujrawszy podróżników, wydał okrzyk i schował się szybko.

— Co robić? — szepnął Abel.

— Ha, idźmy do niego! jest nas przecie trzech i mamy broń nabitą, — rzekł Dugan.

— Możeby do niego przemówić?

— To nie zawadzi. Hola tam! — krzyknął Dugan, przyłożywszy do ust dłonie, zwinięte w trąbkę. — Nie obawiaj się nas dobry człowieku! Jesteśmy przyjaciółmi!

Podróżnik nie otrzymał żadnej odpowiedzi na tę apostrofę; nieznajomy nie ukazał się już powtórnie. Poczekano przez chwilę, poczem ostrożnie wkroczone pomiędzy skały.

— Dlaczego Hop przestał szczekać? — rzekł Jerzy z niepokojem, — czy tylko ten włóczęga nie zabił go?

Uwaga ta była słuszną, Dugan, na wszelki przypadek, zdjął z ramienia dubeltówkę i wziął ją pod pachę, aby w każdej chwili być gotowym do obrony.

Uszedłszy kilkadziesiąt kroków, podróżni znaleźli się nagle w szerokiej kotlinie, otoczonej skałami; na środku, pomiędzy stosami świeżo wykopanej ziemi, stało dwóch białych, z łopatami w dłoniach.

Na ich widok Jerzy, Dugan i Abel wyдали głośny okrzyk zdziwienia.

— Bob!

— Tom!

— Tak, to oni! — zawołał Dugan, marszcząc brwi, — Opatrzność oddała ich w nasze ręce!

Pastuchy, jakkolwiek widzieli doskonale podróżnika, zaledwie zwrócili nań uwagę; przez czas jakiś stali oparci na łopatach, poczem wzięli się znowu do kopania.

— Dzień dobry panu! — zawołał Tom, uchylając czapki. Dugan stanął jak wryty; zuchwałstwo takie wprowadziło go w zdumienie.

— Łotrze! — zawołał, zbliżając się. — Więc ty śmiesz?..

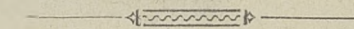
— Hola, hola, panie Dugan! — odparł pastuch, nie przerywając roboty, — zapomniałeś pan, że nie jesteśmy już u pana na służbie.

— W pustyni wszyscy są sobie równi! — dodał Bob, wyszczerzając poźółkłe zęby.

— Gałgany! — krzyczał dalej Dugan nie panujący nad sobą, — opuściliście mnie niecnie, rzuciliście na pastwę losów, a na domiar tego, okradliście najbezczelniej w świecie! Oddajcie wielbłądy i narzędzia, a potem ruszajcie choćby do dyabła!

— Przepraszam ale wielbłądy są nam potrzebne do dźwigania złotego piasku, — odparł ironicznie Tom.

(d. c. n.)



STRÓŻ KROKODYLA.

Cudowne gospodarstwo przyrody, nastrocza nam niekiedy przykłady zażyłości pomiędzy zwierzętami zupełnie odmiennych gatunków, której bez ścisłych naukowych badań, niktby sobie nie potrafił wytłómaczyć. Nowy dowód podobnych stosunków przedstawia rycina nasza. Widzimy tu powyciągane na piasku olbrzymie krokodyle, dokoła nich zaś i na nich samych, a nawet w straszliwej ich rozwarłej paszczy, jakieś niepozorne ptaszki. I któżby tu na razie zdołał odgadnąć, jaki stosunek łączy te drobne, skrzydlate stworzenia, z owym najgroźniejszym gatunkiem jaszczurkowatych gadów? Otóż ptak ten, nie większy od zwyczajnego drozda, zwany przez naturalistów „stróżem krokodyla” oddaje mu też same usługi, jakie w letniej porze wyświadczają w krajach europejskich niektóre gatunki ptaków owadożer-nych, koniom, owcom i rogatemu bydłu, to jest niszczy pas-żyty znajdujące się na powierzchni jego ciała wraz z ich za-rodkami. Nie obawia się on nawet wchodzić w głąb jego groźnie uzbrojonej paszczy, dla wydobycia z pomiędzy pi-łowatych zębów, resztek pozostałych z jakiejś krwawej uczty.

Krokodyl, dla którego ten rodzaj wykalaczki widocznie musi być pożądanym, nie przeszkadza nigdy tej czynności, otwierając przeciwnie jak najszerzej paszczkę, ażeby mały gość mógł się z niej łatwiej wydobyć. Nazwę stróża krokodyla, pozyskał on dla tego, że za zbliżaniem się człowieka, lub jakiegoś zwierzęcia groźnego dla tego gadu, krzykiem swoim daje mu znak do ucieczki. W innym zupełnie stosunku do krokodyla, pozostaje pokrewny mu gad jaszczurkowaty, zwany „ostrzegaczem”, ten bowiem mając do niego wstręt wrodzony, syczy, poznawszy go gdzieś w pobliżu i tym sposobem ostrzega ludzi, przed okrutnym nieprzyjacielem.

Gad ten nieszkodliwy, zarówno jak i ichneumon, czyli szczur Faraona, żyjąc nad brzegami Nilu, jest wysoko cenionym od miejscowych mieszkańców.

— A może chciałabyś ten list przeczytać? — zapytał z uśmiechem.

— O! nie — odrzekła Julcia. — Cóż ja mam za prawo czytać twoje listy?

— Doprawdy? — pytał żartobliwie Lucyan. — Więc tedy ja, na mocy majestatu braterskiej władzy, udzielam ci pozwolenie odczytania rzonego dokumentu — wyrzekł z patosem, wręczając siostrze list, który wydobył z pugilaesu.

Rozśmieszona humorem brata, rozłożyła Julcia arkusik i zaczęła czytać. Ale w miarę jak zbliżała się do końca, niepokój ogarniał ją ogromny, wszak ojciec mówiąc jej o tem, dodał: „Nie wiem jak sobie postąpi Lucyan.

— Czyś odpisał panu N.? — zapytała, nie śmiejąc podnieść oczu.



Pałacyk wystawy ogrodniczej w Bagateli.

SYN MARNOTRAWNY

E. Jerlicza.

(Dalszy ciąg).

X.

— Luciu — mówiła Julcia, siedząc z bratem pewnej niedzieli po południu w saloniku i przewracając kartki książki, którą czytała — ojciec mi wspominał, że w tych dniach otrzymałeś list od pana N. Co słyszał w Wielinie?

— Aha! wspominał ci o tem ojciec?

— Tak — odrzekła, pochylając głowę.

— O! zaraz w kilka dni po otrzymaniu jego listu. Podniosła na niego oczy, w których skupiła się cała jej dusza, ale nie pytała.

Brat się uśmiechnął.

— Odpowiedziałem mu, że — nie pójdę do pałacu, że — zostanę, gdzie jestem, w chacie niskiej z belkami u powały, że — jednym słowem — zostanę z siostrzyczką Julcią, z matką Zochną i z pewnym mechanikiem, co się tak ślicznie umie wspinać na wysokie drzewa dla dostania prątków. — Tu mrugnął znacząco w stronę Stasia, który uśmiechnął się i odwrócił głowę, ale w duszy pomyślał sobie:

— A jednak Julcia nie dowiedziała się, a ja już zdrów jestem.

— O! Luciu, jaki ty jesteś dobry! — wykrzyknęła z unie.



Stróż krokodyla.

sieniem Julcia, gdy rumieniec radości szkarłatem oblał jej policzki.

— Doprawdy, jestem taki dobry? Cha, cha, cha! — zaśmiał się Lucyan. — A czyja w tem zasługa, siostrzyczko. Co?

— Naturalnie, że twoja — odrzekła z przekonaniem Julcia.

— Ejże? naprawdę? — pytał żartując. Usiadł przy fortepianie i spoglądając filuternie na siostrzyczkę, uderzył kilka akordów i zaczął śpiewać wesoło:

Oplatałaś ty mnie,
Czarodziejko moja,
Czy w tem moja dobra wola?
Czy zasługa twoja?

Powiedz, czemu polubiłem
Ciężki trud i znój?
Dobra w tem chęć była moja?
Tak — lecz tryumf twój.

A mała Zochna wyciągając rączki, zaczęła wołać:

— Zosia chce tańczyć z Luciem!

— Patrzcie! co jej się zachciało — zawołał Lucyan, zrywając się od fortepianu i chwytając na ręce małą, która nie przestawała przymilać się i wołać:

— Zosia chce tańczyć!

— Zagraj-no, Julciu! — powiedział Lucyan — bo te małe nożyny na miejscu ustać nie mogą.

Julcia zaczęła grać walca, Lucyan ująwszy za rączki bobo, zaczął się z nią wykręcać po pokoju, gdy Staś siedząc w pobliżu, wybijał takt ręką na kolanie.

Wtem nagle drzwi się roztworzyły, a na progu ukazał się pan Chorzeński.

Pan Chorzeński był czemś ogromnie przejęty, musiał biedz z pośpiechem, włosy spadały mu na czoło, a cała postać wyrażała wielkie zafasowanie.

— Dzień dobry, dzień dobry! — wołał prędko, jak człowiek, który ma coś pilnego do powiedzenia. — Wiecie państwo, ważna nowina? A gdzie ojczulek szanowny? A to pan, panie Lucyane. Bardzo dobrze, przychodzę głównie z powodu pana.

Pan Chorzeński był zazwyczaj w obojętściu nieco roztrągniony, ztąd na razie trudno było dosłuchać się związku pomiędzy tem co mówił — wada to osób, które mają wiele spraw na głowie.

— Cóż to za nowina? — zapytał Lucyan z uśmiechem, podczas kiedy Julcia zapraszała uprzejmie gościa aby usiadł.

— Aha! nowina? Właśnie też. Czy wiecie państwo, zakładają ogromny piec do wypalania wapna, tu, u nas, w naszym miasteczku.

— Kto taki? — zapytała Julcia.

— Niejaki Szulc, kapitalista ze Szląska.

— Niemiec? — rzekł Lucyan.

— Tak, Niemiec — odparł pan Chorzeński. — Lepiej by było naturalnie, żeby ktoś z naszych to zrobił, wołałem, namawiałem do tego oddawna. Ale trudno! nie znalazł się taki kapitalista. Chwała Bogu, że do dobrego dał początek choć Niemiec. Zarobi? prawda, że zarobi, ale przy nim ludzie nasi będą mieć także zarobki. Człowiek przechodzi, dzieło jego zostaje. Francuz, Włoch, czy Niemiec, gdy założy wielki piec i utworzy przemysł miejscowy, kraj i ogół już zyskali jeden nabytek użyteczny więcej. Tak? czy nie?

— Rzecz prosta, że tak — przyświadczył Lucyan.

— Poznałem tego Szulca, pocziwe jakieś człeczyskie, dobrze mu z oczu patrzy, zamawia ludzi wszystko miejscowych, płaci dobrze, ma z sobą jednego tylko Niemca, pomocnika, czy też takiego, co będzie robotami kierował. Ale to mu naturalnie nie wystarcza, potrzebuje umiejętnych pracowników więcej.

Tu bez żadnego przejścia pan Chorzeński zwrócił się do Lucyana z zapytaniem:

— Wszak pan skończył zakład techniczny, prawda?

Ciemne rumieńce wystąpiły na czoło Lucyana.

— Nie... — szepnął ledwie dosłyszczanym głosem.

— Nie? — pochwycił pan Chorzeński — nie? A mnie się jednak zdawało, iż ojciec pana wspominał, że po ukończeniu przez pana szkół wysłał go na politechnikę.

— Tak — mówił Lucyan ze spuszczonei oczami — ale ja nie kończyłem tego wydziału...

Pan Chorzeński zdawał się bardzo zmartwiony tem wyznaniem.

— Szkoda! — mówił w zamyśleniu, nie dostrzegając jak wielką przykrością były dla Lucyana jego słowa. — Wielka szkoda. Pan Szulc mówił mi, że wołałby sobie oszczędzić kosztu sprowadzania z Niemiec technologa, ale wzięłby chętnie tuziemca, byleby to był człowiek uczciwy i zdolny. Przyszedł mi pan na myśl. Mówiłem z nim, ucieszył się bardzo.

Julcia patrzyła z niepokojem na Lucyana, któremu upokorzenie pochyliło nisko czoło i coprędzej starała się odwrócić rozmowę na inny przedmiot.

Nadszedł pan Rodowski. Gość zaczął z uniesieniem opowiadać o przedsiębiorstwie, które założone wprawdzie przez Niemca, miało pożytek przynieść całej okolicy, budząc drzemiący, lub nieudolnie prowadzony dotąd przemysł. Okolica obfitowała w wapień, wypalane tutejsze wapno dobrocią przewyższało wszelkie inne, ale wypalanie było prowadzone sposobem pierwotnym przez tutejszych mieszczan, którzy używali do tego prostych dołów; starczyło zaledwie na miejscowe potrzeby mało co przynosząc zysków. Teraz rzecz urządzoną zostanie na ogromną skalę, z piecami wielkimi systemu amerykańskiego, do przystanku kolei poprowadzony zostanie tor z szyn żelaznych dla ułatwienia dostawy. W tym tygodniu rozpoczynają się już roboty.

Lucyan siedział na uboczu słuchając, ale nie słysząc nic z tych wszystkich szczegółów, które gość opowiadał panu Rodowskiemu. Całą jego uwagę zaprzętała jedna myśl, jedno uczucie — zgryzoty.

Gdyby był nie zmarnował lat przeznaczonych na naukę, nie byłby potrzebował teraz spuszczać oczu przed człowiekiem, który pełen dobrych chęci, chciał podać mu rękę jako młodemu w osiągnięciu stanowiska, korzystnego i użytecznego zarazem. Ileż dobrego mógł zdziałać na tem stanowisku, służąc za pośrednika między bogatym cudzoziemcem, a miejscową ludnością potrzebującą pracy.

Pan Szulc mógł płacić i chciał płacić dobrze, byleby tylko miał zdolnego pracownika, któryby posiadał swój przedmiot dobrze i gruntownie; nie chciał sprowadzać obcego z zagranicy. Tymczasem teraz sprowadzi; miejsce korzystne zajmie nie swój, ale obcy...

— Wstyd! — mówił jakiś głos wewnętrzny Lucyanowi. — Wstyd wam, którzy się dajecie wypierać cudzoziemcom wyższością ich pracy, umiejętności i wiedzy. Wstyd wam, którzy marnujecie lekkomyślnie najpiękniejsze lata młodości waszej, których nie i nikt wam już nie wróci.

Tak myśląc, Lucyan czuł łyż dławiące go w gardle i nie śniąc oczu podnieść na siostrę, która żadnej pomocy nie miała z niego w swoich pocziwych wysiłkach dla dobra rodzeństwa. Jakążby to ulgą było dla niej, gdyby wiedziała, że on, brat starszy, odjął ojcu trud łożenia na wychowanie Stasia, dla którego nadchodziła konieczność udania się do szkół. Gdyby Lucyan zajął to stanowisko, jakie teraz nastreślały mu przyjazne okoliczności, wszystko dałoby się bez wysiłku ułożyć. Stasia wzięłaby pod swoją wyłączną opiekę i choć w części odwdzięczyłby ojcu nakłady, jakie poniósł dla jego edukacji, a których nie był w możności ponieść w równej mierze dla młodszego syna.

Teraz coraz wyraźniej poznawał Lucyan wielką prawdę, że żadne zło popełnione nie mija bezkarnie w życiu, ale prędzej czy później przybędzie pomścić się na nas.

Wtem jakby uderzony jakąś niespodziewaną myślą, powstał i zbliżył się do pana Chorzeńskiego.

— Przepraszam pana — wyrzekł — ale czy pan Szulc wi tutaj, w miasteczku?

— Tak jest — odrzekł pan Chorzeński — i zdaje się, że zamieszka tutaj na stałe.

— Tak? a w czyim domu?

Pan Chorzeński dał żądane objaśnienie.

— Dziękuję panu — wyrzekł Lucyan, i już do końca bytności pana Chorzeńskiego, który pozostał na herbacie, nie przerywał swego milczenia, na co gość nie zwracał uwagi, zajęty rozmową z gospodarzem domu.

(d. c. n.).

DOŚWIADCZENIE FIZYCZNE.

Większa część naszych czytelników, wie o tem dobrze, iż za pomocą słońca wszelka wilgoć wyciągana z ziemi, unosi się w powietrze jako para, i tam gromadząc się pod postacią mikroskopijnie drobnych banieczek, spada znów na dół w formie kropeł deszczowych, lub przy ostudzeniu temperatury, tworzy ziarna gradu, albo śniegowe płatki.

Chmury i obłoki stosownie do pory roku i zawieranych w sobie pierwiastków, bywają rozmaite pod względem barw i kształtu.

Przez długi czas mniemano, iż wzmiankowane wyżej banieczki pary, unoszące się ponad ziemią, są puste, a raczej wypełnione wewnątrz powietrzem i za zetknięciem się z prądem zimnego wiatru, pękają i w skupionej masie przybierają zwykłą postać spadającego deszczu, tymczasem fizyk francuzki Józef Ploten, dowiódł w r. 1851, iż zdanie to było zupełnie mylne. By to wykazać, posłużył się przy najbliższem doświadczeniu, przyrządem Dupreza. Przyrząd ten służący do utrzymywania w zawieszeniu kolumny wodnej, a otwartej u dołu, mającej 15 do 16 milimetrów wewnętrznej średnicy, u spodu wolnej powierzchni płynu, znajduje się naczynie z wodą wrzącą, z której unosi się bezustannie widoczny prąd pary. W takich warunkach, słup wody pionowo zawieszony, nie traci wcale przezroczystości, pomimo mnóstwa banieczek wodnych, uderzających o jego wewnętrzną powierzchnię, o czem się łatwo przekonano ocierając zewnętrzną ścianę rurki.

Za pomocą tego doświadczenia, Plotena przekonał się dostatecznie, że i krople pary przy wzbijającej się ku górnej części atmosfery, nie są wypełnione powietrzem, lecz jednolite i dopóty wzbijają się coraz wyżej, dopóki nie napotkają tak lekkiej warstwy powietrza, która całej ich masy utrzymać nie może i wtedy to jedna część opada na ziemię w postaci deszczu, druga zaś znacznie rozrzedzona wzbija się wyżej, pod postacią mniej lub więcej nagromadzonych białych obłoków.

E. L.

CUDOWNNA WYSPA

Najnowsza powieść Juliusza Verne'a

przekład M. D.

(Ciąg dalszy).

I rzeczywiście, czyż kilka lat temu właśnie w tych samych okolicach wysp Tonga, krater Tufua nie pokrył swą materią wybuchową przestrzeni około dwustu kilometrów? Czyż w 1883 roku część Jawy i przez cieśninę Sunda sąsiadu-

jącej z nią Sumatry, nie zostały zburzone i zatopione w fałach morza przez rzadki w swej sile wybuch wulkanu Krokatoa? Ileż to tysięcy ludzi zginęło wówczas, ile okrętów poszło na dno oceanu!

Lecz przypomnienie to zbudziło poważne obawy w umysłach mieszkańców Miliard-City; może Standard-Island grozi podobne niebezpieczeństwo, może ją czeka los statków znajdujących się w chwili katastrofy, w pobliżu nieszczęsnej Jawy...

Komandor Simoe widząc, iż w zgęszczonej opadającej mi żużłami wodzie, posuwanie się naprzód pływającej wyspy staje się coraz uciążliwsze, wydaje rozkazy zwolnienia biegu. Stało się to tym konieczniejsze, że gdy w rannej porze światło słoneczne z trudnością tylko przedzierało się przez te ciężkie chmury pyłu, w południe przestało zupełnie oświetlać, i ciemności głębokie załęgły w około. Nawet światła elektryczne, owe wspaniałe księżycy powietrzne, nie zdolne stawić dostatecznego oporu przeciw nadzwyczajnemu ciśnieniu opadającego na wszystko barwnego pyłu, zostały przygaszone i na ziemię spuszczone.

Obawiając się silnych jakich wstrząśnień wśród gwałtownie burzących się bałwanów, wstrząśnień, któreby mogły naruszyć całość budynków mieszkalnych, wielka liczba miliardowiczów wyległa do parku i okolicznych ogrodów, a wśród ogólnej paniki, wśród płaczu kobiet i dzieci, Francolin zadaje sobie pytanie, czy dziwnem zbiegiem okoliczności, nie nadeszła chwila w której, mogą się ziścić ponure przepowiednie Sebastjana, względnie do istnienia tej Cudownej wyspy.

Tymczasem wśród potęgających się ciemności, gdy na dziesięć kroków nie można było nic odróżnić, gdy nawet nadejście nocy wskazują tylko zegary, padający deszcz żużlowy coraz grubszymi warstwami pokrywa powierzchnią Standard-Islandu, dodając jej tyle ciężaru, że jej stalowa podstawa poczyni się nadzwyczajnie zagłębiać w wodę.

Co począć w obec nowego niebezpieczeństwa? jakże ulżyć temu olbrzymowi? Praktykowany zwykle na statkach sposób wrzucania w morze towaru i zbytecznego balastru, nie daje się naturalnie zastosować tutaj, a jednak wzburzone bałwany zdają się już sięgać do wysokich krawędzi wyspy, i mało brakuje, aby jej brzegi nie zostały zalane...

Z nadejściem przeciw nocy, podziemne grziny tracą powoli na swej sile, morze staje się nieco spokojniejsze i nadzieja szczęśliwego przejścia całej tej katastrofy wstępuje do serc wszystkich. Brnąc w głębokim pokładzie żużli i czerwonego pyłu, mieszkańcy Miliard-City wracają do swych domów, pocieszając się myślą, że jutro złe minie już bezpowrotnie, że znowu jasne zabłyśnie słońce.

W każdym razie jaki smutny jutrzejszy dzień Nowego roku, w jak okropnym stanie zniszczenia przedstawi się to „cacko oceanu spokojnego” i jak mało brakowało, by piękna Miliard-City nie uległa tragicznemu losowi starożytnego Herculanium i Pompei, jakkolwiek nie leży u stóp groźnego Wezuwiusza.

— Mimo stopniowego uspokajania się wzburzonych żywiołów przezorność nakazuje jeszcze baczność i możliwą ostrożność; to też większość przedstawicieli władzy czuwa noc całą, podczas gdy wyspa posuwa się ciągle w kierunku wschodnim, dopóki nie okrążywszy tej niespokojnej okolicy zwrócić się będzie mogła znowu w prostej linii ku wspom Tonga, gdzie komandor spodziewa się zasięgnąć pewnych wiadomości, co do wysp okolicznych, które mogły być widownią tak silnego wybuchu wulkanicznego.

Tymczasem nowy wypadek zelektryzował wszystkich. Około godziny trzeciej po północy, gdy jeszcze owe nieprzejrzone ciemności wciąż otaczały Cudowną wyspę, dało się uczuć jej mieszkańcom nagle wstrząśnienie, przebiegające głuchym łoskotem cały jej spód stalowy z jednego końca na drugi.

— Co się to stało? co za nowe nieszczęście! — wołano biegnąc do okien i na ulice.

Może wyspa najechała na wysokie skały podwodne i rozbija o nie swą stalową podstawę!

Ale nie, płynie dalej spokojnie, śruby jej jak dawniej są czynne, zatem na razie, nie grozi jej żadne niebezpieczeństwo. Widocznie pośród tych głębokich ciemności nastąpiło uderzenie z jakimś statkiem dążącym z przeciwnej strony. Zbrojna jednak pierś Standard-Islandu nie lęka się zetknięcia z największym nawet pancernikiem, nie dla niej więc w skutkach strasznych być może podobne spotkanie, lecz dla nieszczęsnego okrętu, dla którego w takim razie ostatnia wybiła godzina.

Cyrus Bikerstaff i komandor Simoe przeprowadzili się z trudem wielkim do portu Tribor-Harbour, by osobiście przyspieszyć należne działania. Straż miejscowa objaśniła ich bezwzględnie, iż rzeczywiście miało miejsce spotkanie się z jakimś parowcem pierwszej klasy, którego olbrzymią masę spostrzeżono dopiero w chwili zetknięcia, że gdy na krzyki i nawoływania przybiegli oficerowie, nie było już nic widać, przypuszczają więc, że zatonięcie nastąpiło bezpośrednio po rozbiciu. Naturalnie trudno wiedzieć napewno do jakiej narodowości mógł należeć statek; charakterystyczne jednak, ostre i krótkie rozkazy, które na pokładzie jego zagrzniały jak huk strzału, bywają właściwe marynarce angielskiej.

W każdym razie wypadek to ważny, który może pociągnąć za sobą doniosłe następstwa. Statek angielski, to jakby cząsteczka Zjednoczonego Królestwa, a wiadomem jest przecie, że Wielka Brytania nie pozwala bezkarnie odcinać sobie choćby czubeczków paznokci; do jakiejże więc odpowiedzialności wezwana zostanie Standard-Islandu, gdyby domysły straży były trafne.

Zaprawdę zbyt wiele przeciwności na jeden dzień Nowego roku, i to dla najszcześniejszej dotąd ziemi na globie naszym!

Lżejsze już nieco, lecz gęste jeszcze chmury pyłu wulkanicznego, nie pozwalają, mimo najszcześniejszych chęci komandora, przedsięwziąć jakiegokolwiek poszukiwania na pełnych wodach oceanu, dopiero gdy o 10 godzinie zajaśniał pierwszy promień słoneczny, oświetlając morze, ale zarazem smutny stan zaspanej żużlami wyspy, rozpoczęto należne działania. Lecz ani z brzegów, ani nawet z wieży obserwatoryum z pomocą najsilniejszych lunet, nie widać żadnych śladów rozbicia, jakkolwiek od chwili zetknięcia, Standard-Island w powolnym swym biegu obecnym, przebyła nie więcej nad małe dwie mile morskie. A jednak chociażby w imię ludzkości, nie można zaniedbać dalszych poszukiwań.

Za wspólnem więc porozumieniem wydano rozkazy zatrzymania maszyn i równocześnie wysłano na morze, ratunkowe, elektryczne łodzie. Gdy przecie poszukiwania, nawet w promieniu dziesięcio-milowym, nie dały żadnych rezultatów utrwaliło się przekonanie, że parowiec poniósł tak ważne uszkodzenia, iż bezwzględnie zalany został wodą.

Podczas gdy administracja zajęła się całą siłą oczyszczeniem miasta i jego okolic, pan Simoe nadał pływającej wyspie zwykły jej bieg, a o godzinie dwunastej sprawdzono, iż znajduje się o 150 mil na południe-wschód od Samoa.

Mimo, że jak się zdawało, wszelkie niebezpieczeństwo już minęło, uważne jednak na każdą drobnostkę strażę dały znać około godziny piątej po południu, iż w stronie wscho-

dno-południowej widnieją wznoszące się ku niebu słupy dymu, mogące pochodzić z owego wulkanu, którego istnienia, nie zaznaczyła dotąd żadna karta morska. Przypuszczenie to wszakże okazało się mylnem, gdyż stwierdzono po krótkim czasie, że dym wyraźnie zbliżał się ku Standard-Island, i że tworzą go trzy parowce, które jakoby podążały jej śladem. Jeszcze czas jakiś oczekiwania, a niema już wątpliwości, iż są to okręty wojenne; ta sama część eskadry angielskiej, która pięć tygodni temu nie raczyła oddać należnego powitania barwom pływającej wyspy.

— Czy przypadkowo tylko wypadła im tędy droga, czy tak jak pierwszym razem, nie zechcą nawet zauważyć naszej obecności? — pytano się wśród ogólnego zaciekania.

Gdy jednak wieczorem statki te w oddaleniu pięciu mil od Standard-Islandu wywiesiły światła oznajmiające spoczynek, doświadczony komandor rzekł do gubernatora:

— Pewny jestem, iż mają zamiar porozumieć się z nami.

— Wkrótce się to pokaże — odpowiedział Cyrus Bikerstaff, niespokojny trochę jak postawioną będzie kwestya zetknięcia się statku z wyspą, jeżeli, co jest bardzo prawdopodobnem, wypadek ten sprowadza ku nim angielskie krzyżowce.

Nazajutrz z brzaskiem dnia, okręty oddalone zaledwie o dwie mile od wyspy z powiewającym na najwyższym maszcie pawilonem floty angielskiej, wysyłają ku Standard-Island szalupę zajętą przez kilku ludzi, a w kwadrans później komandor Simoe otrzymuje następującą depeszę:

„Kapitan Turner, z krzyżowca Herald, adiutant admirała sir Edwarda Collison, życzy być natychmiast przedstawionym gubernatorowi Standard-Island”.

Zawiadomiony o tem Cyrus Bikerstaff, upoważnia dyżurnego oficera do wpuszczenia poselstwa floty angielskiej, oznajmiając zarazem, iż czeka na kapitana Turnera w gmachu ratuszowym.

Niezadługo potem, dowiedziony przed gmach ratuszowy, wraz z jednym tylko towarzyszem, osobnym wagonem elektrycznym, przyjętym zostaje pan Turner przez poważnego prezydenta Miliard City. Po wzajemnej zamianie sztywnych, oficjalnych ukłonów, kapitan wypowiada jednym tchem, jak uczeń recytujący dobrze wyuczoną lekcję, następujące długie zdanie:

— Mam honor podać do wiadomości Jego Ekscelencyi gubernatora Standard-Island, w miejscu pod sto siedemdziesiątym siódmym stopniem, piętnaście minut na wschód od obserwatoryum w Greenwich, a szesnastym stopniem 54 minut szerokości południowej, że w nocy z dnia 31 grudnia na pierwszy stycznia, parowiec *Glen*, z portu Gleskow objętości 3500 beczek, z ładunkiem wysokiej ceny, zboża, indyga, ryżu i wina, najechany został przez Standard-Island należący do Kompanii Standard-Island, która rezyduje w porcie Magdaleny w Niższej Kaliforni Stanów Zjednoczonych.

(d. c. n.)

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

ADRES REDAKCYI, ULICA **Mazowiecka Nr. 10** NOWY.

TREŚĆ: Pożegnanie lata, wiersz p. M. D. (z drzew). — Wystawa ogrodnicza (z drzew). — W pustyniach Australii, przez Władysława Umińskiego. — Stróż krokodyla (z drzew). — Syn marnotrawny, powieść przez E. Jerlicza. — Doświadczenie fizyczne p. E. L. — Cudowna wyspa, najnowsza powieść Juliusza Verne'a, przekład M. D. — **Dodatek:** Pasięka Julka (z drzew). — Pożegnanie bocianów, wiersz przez E. L. — Okno naprzeciwko (dokończenie). — Dobre chęci i niewaga. — Łamigłówni i rozwiązania — Skrzynka do listów. — **Dodatek książkowy:** Na dworze landgrafów Turynii, opow. Teresy Jadwigi.

WIECZORY RODZINNE



PASIEKA JULKA.

— Gdybyś wiedział Julku, jak się znakomicie bawiłem w Kołobrzegu — opowiadał Stefcio swemu kuzynkowi, bawiąc się z nim w ogrodzie — pływałem nawet łodzią po morzu...

— I nie chorowałeś przytem?

— Trochę mi było jakoś nieswojo, ale bo widzisz, to pierwszy raz — gdy zostanę marynarzem...

— Co ty mówisz?

— A tak, ja już czem innem nie będę! Pomyśl tylko co za przyjemność bezustannie podróżować, i to na wielkich morzach i oceanach! Siedząc w domu, nie masz o tem żadnego pojęcia, ale ja... — dodał mały z miną wielkiego człowieka, za jakiego się miał po powrocie z kąpeli morskich.

— Rzeczywiście, mało co dotąd widziałem — odparł Julek spokojnie i bez urazy, zdaje mi się jednak, że gdybym nawet poznał wszystkie cuda świata, wolałbym zawsze nasze ciche życie wiejskie.

— Eh, na wsi to tylko wieczne nudy — zauważył Stefcio z pogardliwą minką.

— Nudy? ja ich dotąd nie znam wcale.

— A cóż ty robisz, żeby się nie nudzić?

— Najpierw się uczyć, tak samo jak ty zapewne,

tylko może trochę więcej, bom o rok przeszło starszy i mam na przyszłe wakacje składać egzamin do drugiej klasy gimnazjum w Warszawie. Potem chodzę z ojcem w pole...

— Dobra mi zabawa. Spacer nad morzem to co innego!

— Nie lubisz koni, krówek i owieczek, albo ślicznych pól naszych, gdy żniwiarze koszą, grabią i zwożą zboże do stodół? Dla mnie bo niema nic przyjemniejszego i niczem innem nie będę, tylko rolnikiem.

— Co rok jedno i to samo: siać, orać, kosić; zostań lepiej marynarzem, będziemy razem podróżowali.

— Jakiś ty zabawny, Stefciu, niby to marynarz jeździ tak sobie dla przyjemności tylko, mnie się zdaje, że jego życie jest pełne trudów i niepokoju; ileż to przeszkód, ile trudności, a jaka odpowiedzialność za życie tych, których wiezie na statku! O nie, nie, już ja wolę nad te rozległe morza nasze pola i ogrody... wreszcie choćby moją pasiekę.

— A gdzież to ta twoja pasieka?

— To ty jeszcze nic nie wiesz? Chodź, zaraz ci ją pokażę. Wyobraź sobie, jednego dnia na wiosnę przybiegł do dworu stary nasz ogrodnik Andrzej, z radosną nowiną, iż rój pszczół uwiązał się na lipie; że go trzeba zabrać, zanim odleci dalej. Ponieważ na strychu były zachowane z dawnych czasów puste kószki, więc tatuś kazał przynieść jedną, a ja poprosiłem, żebym mógł pójść z Andrzejem, który jest zamiłowanym pszczelarzem, i wie dobrze, jak to się trzeba z pszczólkami obchodzić. Nie upłynęło też i pół godziny, gdy w koszce pełno było wesołego brzęku, bo skrzętne gosposie, jak mówi ogrodnik, zaraz się zabrały do urzędzenia swego nowego mieszkania.

— I ty byłeś przy tem i nie bałeś się, żeby cię nie pokąsały, bo one podobno strasznie są złe, te twoje pszczoły?

— A to mi dopiero odwaga przyszłego kapitana okrętu, który się lęka ukłucia biednej pszczołki — żartował Julek — a cóż ty zrobisz, gdy cię kiedy w twych podróżach rozbójnicy morsecy napadną?!

— Ależ ja się nie boję wcale, tylko... to przecież zawsze niemiło, gdy co boli — tłumaczył się, jękając zawstydzony Stefcio.

— Ja teraz nawet często do nich zachodzę i choć czasem ukłuje która, broniąc swego dobytku, to jej to wybaczam chętnie. Bo jeszcze i tego nie wiesz, że mi je tatuś podarował, że jest to moja pierwsza własność, a za lat parę będę miał już dużą pasiekę, gdyż z każdego ula, corocznie młode wylatują roje. Widzisz tutaj, pod jabłonią, stoją dwie kószki, jedna jeszcze próżna, nad drugą jednak lata cały rój tych mądrych owadów; oj, trzeba im pracować skrzętnie, by miały czem się wyżywić przez całą zimę.

— A cóż ty z niemi będziesz dalej robił? — pytał zdziwiony Stefcio.

— Co? przecież to bogactwo, choćby jedna duża pasieka; Andrzej powiada, że nim dorosnę, to mogę już mieć ze sto takich uli. Co rok też, w czasie wakacyi obiecuje mię uczyć, jak się z niemi obchodzić, żeby dużo dały miodu...

— Prawda, że miód z orzechami to smaczna rzecz — odezwał się Stefcio.

— Na przyszły rok, gdy przyjedziesz do nas, poczęstuję cię już moim własnym zbiorem; a gdy za lat parę, będę go miał bardzo dużo, wtenczas, rodzice mówią, najlepiej będzie go sycić, to jest gotować na napój, który ma być lepszym i zdrowszym od niejednego wina, i ludzie drogo za taki miód płacą. Więc choć się czasem w gospodarstwie dla suszy lub innych powodów nie wszystko dobrze uda, to moje pocziwe pszczołki, zawsze mi coś zapracują i niejedną nagrodzą stratę.

Pod wpływem myślącego tak poważnie Julka, butna mina Stefcia spokorniała jakoś, i kuzynek ten, mało co od niego starszy, którego traktował z początku z pewnem lekceważeniem, dla tego, że dotąd nie wyjeżdżał prawie poza granicę swej rodzinnej wioski, który nie znał morza i nie chciał być marynarzem, wzbudzał w nim teraz szacunek nieledwie. Zkądże taka zmiana, co może być jej przyczyną? Oto uznanie, jakie każdy oddać musi ludziom zamilowanym w pracy cichej lecz pożytecznej.

POŻEGNANIE BOCIANÓW.

— Cóż to tam klekocze za stodołą w sadzie?
To nasze bociany zebrane na radzie;
Wzniósłszy się nad ziemią, machnęły skrzydłami:
„Bywajcie nam zdrowi! żegnamy się z wami!
Już tu nam zbyt zimno, lecą liście z drzewa,
Chłodny wiatr jesienny pióra nam przewiewa,
I wszystko już postać przybiera żalosa:
Strzeż was. Boże! ludzie! powrócimy z wiosną!”
— O! wróćcie bociany, wróćcie z wiosną miłą,
Wiemy, że was tutaj nie wstrzymamy siłą;
Lecz na starych gniazdach czekamy was radzi.
Żegnajcie bociany! niech was Bóg prowadzi!
I wnet odleciały — powiał wiatr ponury,
Oziębł powietrze, spędził śnieżne chmury.
Pożółkły ze szczętem miedze żywnych łąków,
Potem śnieg przypruszył siedziby bocianów.
A one tymczasem w chłodnej u nas dobie,
Nad brzegami Nilu znów radziły sobie:
Jak to wrócą z wiosną na gniazda naddziadów,
By pola i łąki czyścić ze złych gadów,
I nauczać ludzi, krocząc nad strumieniem,
Jak trzeba żyć zgodnie ze swem przeznaczeniem.

E. L.

OKNO NAPRZECIWKO.

(Dokończenie).

Na wspomnienie okna naprzeciwko, Bronię i Mieczysia oblał rumieniec wstydu, bo przypomniała im się ich kłótnia, z przerażeniem pomyśleli sobie, że może i teraz Klemunia i Feluś przysłuchiwali się tej wrzawie, ale na szczęście okno było zamknięte. Bronia odechnęła swobodniej i prędyutko wyskoczyła z łóżecka, a Mieczek bez najmniejszego krzywienia pozwolił się umyć.

W pół godziny dzieci były już przy lekcyi. Ale tak Bronia jak i Mieczek bardzo byli leniwi, więc też dzisiaj, jak zwykle, lekcyje nie szły tak, jak iść powinny. Mieczek skrzywił się już do płaczu, bo nauczycielka źle zrobione zadania, kazała drugi raz odrobić, Bronia chciała pójść za przykładem braciszka i lekcyja skończyłaby się płaczem, ale nagle dzieci spojrzwały niespokojnie w okno i przestały się krzywić. Naprzeciwko ujrzały Klemunię i Felcia, jak uśmiechnięci wesoło porządkowali już swoje książki.

— Oni unieli lekcyę szepnęła Bronia i powoli zabrała się do pisania.

— I my mogliśmy się lepiej nauczyć, odrzekł Mieczys, wzdychając smutnie.

Dzisiaj dzieci znów smuciły się dzień cały, lecz za to w domu nie słyhać było sprzeczek i nie widziano w pokoju porozrzucanych zabawek; wszyscy dziwili się tej zmianie. Wieczór już nadchodził, gdy Bronia i Mieczys, pokończywszy lekcyje zadane na jutro, przybiegli do okna aby zobaczyć co dzieje się w pokoiku naprzeciwko i oboje zdziwieni spojrzeli na siebie. Na środku pokoju siedział mały Ludwiś, mając około siebie pełno rozmaitych zabawek, a Klemunia z Felusiem różnemi sposobami zabawiali małego braciszka. Bronia znowu zaczerwieniła się po uszy.

Parę dni temu, Marysia, tak ją prosiła, żeby choć kwadrans pobawiła Cesię, bo w kuchni było dużo zajęcia, pomoc Marysi przydałaby się tam bardzo, ale Bronia rozgniewała się na nią tylko; jakże się teraz wstydziła, patrząc na te dzieci, tak zgodnie, wesoło, zabawiające małego Ludwisia. Mieczys i Bronia długo jeszcze stali, przypatrując się temu ślicznemu obrazowi miłości i zgody w rodzeństwie, widzieli też jak później, gdy piastunka przyszła zabrać dziecko Klemunia zaczęła zbierać rozrzucone zabawki, a braciszek chętnie jej w tem pomagał. Bronia i Mieczek nigdy tego nie robili, codziennie musiano za nich sprzątać, teraz więc zawstydzenie oboje odeszli od okna. Jakież było przyjemne zdziwienie wszystkich w domu, gdy nazajutrz Bronia bez grymasów wstała ranej niż zwykle, a Mieczek umył się spokojnie; lekcyje też odbyły się zupełnie inaczej niż codziennie. W obydwóch dzisiaj położonych naprzeciw siebie mieszkaniach, dzieci składały książki z uśmiechniętymi, wesoło twarzyczkami. Po obiedzie Bronia przechodząc koło okna spojrzwała ciekawie naprzeciwko i zawstydzona spuściła oczy. Klemunia siedziała przy oknie szyjąc z zajęciem, a przy niej leżała lalka w czystej koszulce.

Lalka Brońci oddawna była porzucona za komodą, zabrudzona i nieubrana, bo nieporządna dziewczynka nie znała prawie igły. W tej chwili wszedł Mieczys i spojrzawszy w okno, również się zawstydził, zobaczył bowiem Felusia siedzącego przy 'siostrze i czytającego książeczkę w złoconej oprawie. Wszak i oni mieli tyle ładnych książek, które leżały w szafce zakurzone, nieczytane jeszcze. Brońcia w milczeniu wyjęła lalkę z za komody i zaczęła ją myć i czesać, Mieczek idąc za przykładem siostry, powymywał książki z szafy i okurzywszy je poukładał porządnie.

Zwykle w tym czasie w pokoju panowała największa wrzawa, bo dzieci wolne od nauki, dokazywały i sprzeczały się najgłośniej, dziś jednak było tam cichutko jak nigdy; mama zdziwiona tą ciszą uchyliła drzwi, patrząc czy dzieci gdzie nie wyszły, a zobaczywszy jak były zajęte, uśmiechnęła się i łza zabłysła w jej oku. Brońcia ubrawszy wreszcie swą lalkę w czystą koszulkę, pobiegła do mamy z prośbą o skrojenie sukienki, a gdy mama uczyniła zadość jej życzeniu przysunęła sobie krzeselko do okna i zasiadła do szycia, Mieczek widząc to, przysunął drugie krzeselko i usiadł z książką w rękę.

— Teraz będziemy podobni do Klemuni i Felusia zawołał wesoło; i rzeczywiście tak było, dzieci stały się bardzo do siebie podobne. W obydwóch oknach dziewczynki szyły, a ich bracia czytali głośno zajmujące powiastki. Jakaż rozkosz napełniła serduszką Brońci i Mieczysia, gdy wieczorem mama uściskała ich serdecznie i pochwaliła za grzeczność.

— Zawsze teraz takimi będziemy, zawołały dzieci radośnie, i dotrzymały przyrzeczenia, bo od tego czasu nie różniły się wcale od Klemuni i Felusia. Gdy nadeszła niedziela jakaż miła spotkała ich niespodzianka!

Zaraz po obiedzie przyszyli do nich w odwiedziny dzieci z przeciwka, a wesoła z nimi zabawa trwała do samego wieczoru.

N...ka z nad Warty.

DOBRE CHĘCI I NIEUWAGA.

— Loniu, weź koszyczek i przynieś z góry jabłek, które tam są rozłożone na stole — rzekła mama do swej ośmioletniej córeczki.

— Dobrze mamusiu, pobiegnę natychmiast, a czy pełen przynieść koszyczek?

— O tyle, aby z niego nie spadały jabłka, proszę cię uważaj i drzwi na klucz zamknij.

— Zamknę mamusiu, a czy przynieść małych czy dużych jabłek?

— Bierz z brzega, tam są tylko jabłka jesienne, ale idź, bo jak zaczniesz dopytywać się, to nie pójdziesz i za godzinę, a jabłka są mi zaraz potrzebne.

— Idę mamusiu — zawołała Leonia, schwyciła koszyczek i wybiegła.

Za chwilę wróciła i zaczęła rozglądać się po pokoju.

— Jakto, już wróciłaś? — zapytała mama.

— Nie mamusiu, tylko poszłam na górę bez klucza, a teraz nie wiem gdzie go szukać?

— Czy nie wiesz gdzie są klucze? sądziłam, że zauważyłaś to dotąd, iż one zwykle w jednym znajdują się miejscu.

— A! prawda! — wykrzyknęła Lonia i pobiegła do koszyczka z kluczami.

— Który to klucz mamusiu? — zapytała przerzucając klucze — czy ten?

— To jest klucz od kłódki, czy nie umiesz tego rozpoznać? widzisz, że jest mały i okrągły, czy podobna takim kluczem zamek u drzwi otworzyć?

— Prawda, to być nie może — rzekła Leonia zawstydzona trochę, rozpoczynając poszukiwanie na nowo.

— Czy ten? — zapytała, znalazłszy mały kluczyk przywiązany na sznureczku do zastruganej odpowiednio drewnianej rączki.

Mama wzruszyła ramionami.

— Widzę — rzekła niezadowolona — że w niczem wyręczyć mię nie potrafisz, masz rok dziewiąty a żadnej pomocy z ciebie mieć nie mogę.

— Mamusiu, ja pójdę chętnie, ale kiedy nie znam klucza — rzekła Lonia zasmucona.

— Bo jesteś nieuważną, roztrzepaną i nie myślącą o tem co masz robić. Dużo pytasz, a mało zwykle robisz, byłabym sama już dawno przyszła z jabłkami.

Mama wyjęła klucz duży dosyć i pokazała go Loni.

— Czy go pierwszy raz widzisz? — zapytała.

— O, nie, nie! mamusiu, znam go przecież doskonale — zawołała Lonia uradowana na widok klucza i wyciągnęła po niego rękę.

— Pójde już sama, bo może znów będą przeszkody, a jabłka do obiadu potrzebne — rzekła mama, biorąc kluczyk z rąk Leoni.

— Mamusiu, pozwól mi ten raz jeszcze iść po jabłka, sprawię się dobrze — prosiła Lonia — już będę uważną, chciałabym robić wszystko co każesz, mam dobre chęci.

— Same chęci nie wystarczają, trzeba do tego uwagi i zastanowienia nad tem, co czynić mamy. Takie drobiazgowie dopytywanie, gdy się chce niby dobrze wywiązać z danego polecenia, jest cechą płytkiego umysłu, na którym nic polegać nie można.

Mama widząc, że dziewczynka zasmuciła się, dała jej klucz i koszyczek.

Lonia pobiegła uradowana, a w krótką chwilę wróciła z jabłkami, które mama wzięwszy z rąk jej, poszła do kuchni, a dziewczynka zabrała się do książki.

(d. c. n.)

S Z A R A D A.

przez E. M.

Gdy *pierwsze*, *drugie* latem chwieje się na polu,

To, zebrawszy je, *trzecie* na korców tysiące;

Oby ci, wschodząc bujnie co rok bez kąkolu,

Żywiło cię i rzesze ubogich łaknące.

Zbierz *wszystko*, znajdziesz miasto w zjednoczeniu owem,

Gdzie się łączy Kamionka z rzeką Teterowem.

ŁAMIGŁÓKWA ZGŁOSKOWA.

ułożyła Szarotka tatrzańska dla Jaskółki.

Z następujących zgłosek: Jo—a—a—nie—cho—ze—e—
—chra—znicz—ol—te—ni—gat—bo—cim—bra—len—
bąszcz—cha—le—zys—fon. Ułożyć 10 wyrazów, których
początkowe i końcowe litery czytane z góry do dołu
utworzą imiona i nazwiska złączone spójnikiem dwóch
poetów, przyjaciół Mickiewicza. Znaczenie wyrazów:
1) Zakon rycerski w Jerozolimie w XII w. 2) Kamień,
podgatunek kwarcu. 3) Sklepienie błękitne. 4) Miasto n.
Dniestrem. 5) Zwierzę z rodzaju koni, żyje w Ameryce
połud. 6) Miasto w starożytnej Grecji, słynne religijnymi
obzędami. 7) Owad z rzędu tęgopokrywych. 8) Ogień
święty. 9) Drzewo z rodz. brzozowatych roślinie w Euro-
pie i południowej Ameryce.

KRZYŻ MAGICZNY.

Stanisław M. dla czytelników Wieczorów.

a	a	Z podanych liter uło- żyć wyrazy, które krzy- żując się utworzą wyra- zy: 1) Gad pokryty tar- czami kościstymi, żyje w rzekach Afryki. 2) Przyrząd do mierzenia ciśnienia powietrza.
d	d	
e	e	
k	k k m o o o o o	
r	r r r r r r b b	
t	t	
l	l	
y	y	

ROZWIĄZANIE DO N-ru 37

Szarady: Marya.

ŁamigłóWKi sylabowej:

- 1) Azya. 2) Dubrownik. 3) Alaszka. 4) Mosiądz.
- 5) Morwa. 6) Inflanty. 7) Cietrzew. 8) Kazań. 9) Inn.
- 10) Etna. 11) Warszawa. 12) Ikwa. 13) Chili. 14) Zoroa-
ster.

Adam Mickiewicz.

Niteczki Aryadny:

Jak potopu świata fale
Zamrożone w swoim biegu,
Stoją nagie Tatry w śniegu
By graniczny sęp zuchwale.

Skrzynka do listów.

Pani K. w Prochorówce, prosimy o przysłanie jakiej próby
swej pracy, oraz adresu pocztowego dla bliższego porozumienia się
listownie.

Jakże szlachetną przyjemność obmyśliła sobie *Reginka Z.*
na dzień swoich imienin, przeznaczając sumkę 50 kop. na ubogich.
Pewni jesteśmy, że myśl zaspokojenia chociażby jednodniowych
potrzeb jakiego biedaka, będzie jej jedną z najprzyjemniejszych
wiązanek. Prenumeratę półroczną Redakcja odebrała, należne
z ubiegłego kwartału numeru wysłane.

Józio Z. nie myli się w przypomnieniach swoich, gdyż
„Gwiazdka polarna” jest rzeczywiście jedynym ciałem niebieskim
północnego nieba, które nigdy nie zmienia swego położenia w sto-
sunku do ziemi, a stojąc jako oś nieruchomo względem krążących
w około niej gwiazdozbiorów, służy od najdawniejszych czasów jako
punkt pewny, zarówno dla żeglarzy na wodach oceanów, jako i dla
podróżników przez bezdrożne piaszczyste pustynie. Ponieważ jednak
nie wyróżnia się na niebie blaskiem swoim, przeto szukać jej trzeba,
co nam ułatwia bardzo gwiazdozbiór „Wielkiej Niedźwiedzicy” ina-
czej „Wozem Dawida” zwany, który się składa z 7 gwiazd tworzą-
cych mniej więcej figurę „+”: to znaczy 4 gwiazdy na koła Wozu trzy
na jego dyszel. Latem czy zimą błyszczy ten gwiazdozbiór nad na-
szemi głowami, i jakkolwiek niema w nim ani jednej pierwszej
wielkości, jednak wyróżnia się dziwnie i zwraca na siebie uwagę,
tak, iż pewni jesteśmy, że go już sam zauważyłeś nieraz.

Otóż jeśli przeprowadzisz w myśli linię prostą w górę przez
tylne koła „Wozu” i przedłużysz ją na odległość 5 razy większą,
znajdziesz gwiazdkę jeszcze trochę mniej błyszczącą od poprzedza-
jących, a tworzącą zakończenie figury podobnej do Wielkiego wozu
lecz mniejszej i zwróconej w odwrotnym kierunku. Jest to „Mała
Niedźwiedzica” albo „Mały wózek złożony również z 7 gwiazd.
Gwiazda do której nas prowadzi nasza linia, będąc jakby na końcu
dyszla „Małego wózka” jest właśnie naszą „Gwiazdą polarną czyli
biegunową”.

Od tego nieruchomego wychodząc punktu, łatwiej nam zapo-
znać się ze wszystkimi gwiazdozbiorami północnej półkuli nieba.

Zapewne *Podolanka* przez rostargnienie tylko nie zwróciła
uwagi na tylokrotnie zalecaną przez nas pisownię słowa: *posyłać*
w którym zasady ortografii każą bezwzględnie używać *y* a nigdy *e*,
zatem będzie zawsze: *posyłam, posyłamy*. Wykończoną przez *Podolankę*
sukienkę, oraz koszulkę uszytą przez *Stokrotkę* i *Stasię*
Urwisku, Redakcja otrzymała.

Róbótki konkursowe *Gałązki Storczyka* i jej siostrzyczki
Basiulki nie spóźniły się jeszcze, obok więc przyjemności jaką da-
je wspomnienie biednych, nie przepadła dotąd możność otrzymana
nia nagrody.

Arytmogryf *Józefa M.* będzie drukowanym o ile okaże się
dobrym. Nie przestajemy też zachęcać wszystkich czytelników
naszych, do układania oryginalnych łamigłówek z doborem tematów
nowych.

Czynny zawsze w tym kierunku *Wróbelek* nie próżno sobie
trudzi główkę; nadesłane rozwiązania są trafne.

Dlaczego *Myszka* czarna nie załączyła do swej róbótki wy-
maganych w przepisach konkursu, karteczek z wypisanym obok pseu-
donymu, prawdziwym nazwiskiem oraz wiekiem i adresem. Po-
minięcie tej formy, może słusznie narazić *Myszkę* na utratę nagro-
dy chociażby samo szczie zasługiwało na nią, jeżeli jeszcze teraz
nie pospieszy listownie naprawić skutków swego roztargnienia.
Być łatwo może, że kiedy *Myszka* chodząc na pensję przebiegać
będzie ulicę Warszawy, ja w locie moim spostrzegę ją nieraz, jak-
że się jednak poznamy, kiedy mię nic nie wyróżnia z tłumu moich
siostrzyczek?

W każdym razie pozostają nam liściki, które *Myszka* porzą-
dnie pisać umie; proszę zatem pisywać często do przyjaznej jej

Jaskółki.

Młoda osoba, skończywszy gimnazyum, pragnie udzie-
lać korepetycje paniom — podjąć się też może przygotowa-
nia do egzaminu. — Wiadomość w Redakcyi, lub ulica Oboźna
Nr. 7 m. 2.